

o Naszych Orłętach



Baron Andrzej Battaglia

Był pierwszą ofiarą walk o polskość Lwowa. Urodzony w Tarnowie dnia 19 września 1895 r., był najmłodszym synem ś.p. Gwidona Battaglii, emerytowanego starosty, powstańca z lat 1863 i 1864 i Olgi z Łódzia Baranowskich. Uczęszczał do szkół we Lwowie, gdzie na wiosnę roku 1914 w III Gimnazjum złożył egzamin dojrzałości. W młodocianym już wieku z całym zapałem swej gorącej duszy oddawał się harcerstwu, a potem stał się członkiem tajnej organizacji młodzieży szkolnej, której celem było przysposobienie się do boju o niepodległość narodu. Po ukończeniu studiów gimnazjalnych został członkiem Związku Strzeleckiego.

Gdy wojna światowa wybuchła, Andrzej Battaglia jako żołnierz legionista walczył w I Brygadzie Legionów, nie zważając na swe wątłe zdrowie. Dopiero w styczniu 1915 roku w okopach nad Nidą zmógł go choroba. Chorował długo,

wreszcie zwolniono go z wojska jako niezdolnego do służby. W roku 1916 zgłosił się jednak znowu do legionów, a w roku 1917 przeniesiono go przymusowo do wojska austriackiego na front włoski.

W lecie roku 1918 po ukończeniu szkoły oficerskiej otrzymał przydział do garnizonu lwowskiego, gdzie zaraz wszedł w kontakt z Polską Organizacją Wojskową, stając do jej dyspozycji. Z końcem października 1918 roku Andrzej stał się jednym z najgorliwszych działaczy tej organizacji, która wobec nagłego rozpadania się Austrii chciała opanować miasto i kraj dla połączenia z niepodległą Polską.

Obecny na walnej naradzie, która się odbywała wieczorem dnia 31 października 1918 roku nad kwestją opanowania Lwowa przez zawładnięcie urzędami, koszarami i różnymi ważnymi obiektami, był jednym z tych, którzy chcieli natychmiast przystąpić do czynu. Na tej też naradzie postanowiono początkowo wykonać plan jeszcze tej samej nocy z 31 października na 1 listopada i rozdzielono już funkcje poszczególnym uczestnikom. Battaglia podjął się przytem kierownictwa akcją dla owdładnienia koszar piechoty przy ul. Kurkowej. Zadanie to było tem ważniejsze, że podług poufnych wiadomości znajdowało się tam dużo broni ręcznej, zmagazynowanej na II piętrze. W wyprawie tej miał wziąć udział kilkunastu w tajemniczość. Otrzymał do zadania, Andrzej Battaglia omówił naprędce z obecnymi tam kilku towarzyszami wyprawę szczegółowy plan działania, oznaczył im czas i miejsce zbiórki i, nie czekając końca walnej narady, poszedł do domu, by się przygotować i uzbroić.

To też nie wiedział, że walna narada przeciągnęła się do późnej nocy w skutek niemożności uzgodnienia zdań co do sposobu i czasu przeprowadzenia akcji i że w rezultacie postanowiono wykonać zamach w późniejszym terminie, za to go dokładnie przygotować.

Battaglia na miejscu zbiórki znalazł tylko kilku towarzyszy. Mimo słabe siły postanowiono plan wykonać.

Battaglia miał wejść pierwszy do koszar, zbadać stan liczebny oraz czujność warty, towarzysze zaś, ustawieni pod drzewami na ulicy, mieli oczekiwać hasła.

Na dany znak strzałem, czy też gwizdkiem, mieli oni wtargnąć na dziedziniec przed koszarami, rozbroić i unieszkodliwić wartownika przy bramie, potem wpaść do wartowni i rozbroić wartę. Następnie według wskazówek pewnego byłego legionisty, który w tych koszarach wówczas służył, mieli wtargnąć na II piętro i opanować je. Przytem przygotowani byli w razie najmniejszego oporu użyć broni, w którą wszyscy byli zaopatrzeni.

Battaglia istotnie około północy wszedł do wnętrza koszar bez trudności, reszta zaś została na ulicy.

Po dość długiej chwili czekania usłyszeli umówiony znak gwizdkiem, na który to znak mieli przystąpić do czynu. Wpadli za bramę, rozbroili wartownika i skierowali się przez podwórze do budynku koszar. W miarę zbliżania się słyszeli coraz wyraźniej gwar i krzyki, pochodzące ze środka budynku. Tem spieszniej więc wbiegli do środka, a w tej chwili natknęli się na Battaglię, który krzyknął do nich: „Strze-lać!”

Okazało się wówczas, że koszary były już opanowane przez Ukraińców, a warta ich była pod bronią. Na skutek strzałów od wnętrza cofnęli się wszyscy na podwórze.

Usłyszano liczne głosy i krzyki z góry. Nadeszło widocznie pogotowie. W tej chwili ujrano Battaglię, jak w oczach wszystkich padł na podwórze.

Walka stawała się nierówna, gdyż towarzyszym Battaglii zabrakło naboju, a dwóch z nich odniosło rany. Zaczęto więc wycofywać się na ulicę.

Śmiertelnie rannego Battaglię Ukraińcy oddali do szpitala wojskowego na Łyczakowie, gdzie po ciężkich cierpieniach zmarł dnia 5 listopada 1918 r. Po śmierci mianowany podporucznikiem i odznaczony orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

Ludwik Lubicz Wolski

„Kiedys - pisze w Gazecie Lwowskiej d. 16 maja 1919 r. Stanisław Rossowski - gdy nowa martyrologia polska doczeka się swego Adama czy Juliusza, stanie wśród potwornych wizji, jak symbol męczeństwa za Ojczyznę, młodzieńcza postać Ludwika Wolskiego, sina cała i obrzękła od stulkudziesięciu uderzeń pletni, przesyta kulami w końcu, gdy wyczerpała się śrepczyielska pomysłowość oprawców.

Czy sąd złoczowski, sąd-okrutnik, sąd-morderca, może liczyć choćby na tę wobec sądu Bożego okoliczność łagodzącą, w imię której Zbawiciel swym zabójcom przebaczył, jako że nie wiedzieli, co czynią?”

Jak relikwie czczone będą kiedyś pogruchotane kości i kostki męczenników złoczowskich. W imię tego, co przeszedł on i jego towarzysze i w imię tego, co zapowiadał. Bo był z tych młodych, których widok radością i otuchą przejmują pokolenia schodzące z pola, którzy idą w życie jak widomy znak błogosławieństwa niebios, wyposażeni wieloraką siłą, krzepcy cieleśnie, czysti w sercu, wyniosli na duchu, zaprawieni w karności i wytrwaniu.

Ludwik Wolski z domu wyniósł z czątki cnot, które potem w życiu wczesnie rozbraiał i utrwał. Był synem Wacława Wolskiego znakomitego patrioty. A matką była Ludwikowi Marja z Młodnickich, poetka lutni o złotych strunach. Górny nastrój i żarliwość patriotyczna składały się na atmosferę domu, w którym wzrastał...”

A oto co o studencie-prymusie pisze ukochany jego ówczesny profesor, Władysław Witwicki:

„Był pomiędzy uczniami gimnazjum VII-go we Lwowie Ludwik Wolski, chłopak stale pierwszy w klasie, choć nie należał do typu tych celujących, którzy światła poza książką nie widzą. Przeciwnie: i do tańca był, jak to mówią, i do różańca.

Jasnymi oczyma patrzył na świat jasno, bystro, poczciwie i wesoło. Zdawało się, że swą dobrą i rozumną twarzą każdego chwyci za serce i świat przejdzie, czyniąc dobrze. Wielostronne i niezwykłe nosił w sobie zadatki na przyszłość. Miał żywe poczucie estetycznej wartości słowa i zwrotu i miał żytkę do ścisłego badania faktów; kochał się w kwiatkach, trawach, chrząszczach, lgnął do ludzi, a nade wszystko kochał prawdę. W każdym rozumnym znaczeniu tego wyrazu.

Z odznaczeniem skończył szkoły średnie, a skończywszy studia rolnicze, wziął się z zapałem do pracy na kawałku ziemi ojczystej pod Złoczowem. W wolnych chwilach pisał wiersze, tłumaczył, kształcił się...”

Niemniej serdecznym, wymownym wspomnieniem wy-



powiedział się o Ludwiku Wolskim profesor akademii dublańskiej, dr. Stefan Pawlik:

„...Młodzieniec wyjątkowych zdolności, kryształowego charakteru, niespożytej energii, pracy, inicjatywy, ducha pełen i poezji życiowej, ceniony wysoko przez profesorów, miłowany przez kolegów, którym prodzuje, wychodzi po wybuchu wojny ze wschodnim legionem, a po rozwiązaniu tegoż, wzięty w niewolniczo austriackie szereg, przechodzi ciężką, karpacką poniewierkę. Wyrwany z niej nareszcie przyjazną ręką, kończy chlubnie studia rolnicze w Dublanach, gdzie też następnie jako asystent pracuje. Na pierwszą wieść o uwolnieniu rodzinnej, złoczowskiej ziemi, przez wojnę doszczętnie zniszczonej, wraca do niej, aby jako komisarz rolniczy i sam gospodarz oddać się całej sprawie jej ratunku. Był bowiem jednym z tych, o których powiedziałano:

„Temu tylko pług a socha,
Kto tę ziemię czarną kocha...”

Kochał ją nie jako rentę i „sferę”, nie tylko jako warsztat pracy, kochał ją jako rdzeń narodowego życia, jako posłannictwo solenne, obowiązek, tradycję. Praprawnik konfederata barskiego, prawnik jednego z tych, którzy w noc listopadową trzymali straż pod Belwederem, wychowany na cyklach grottgerowskich i słynnym „Katechizmie polskiego dziecka”, dedykowanym jemu właśnie przez ojca chrzestnego, Władysława Bełzę, - widział on w zawodzie swym i w kawałku rodzinnej ziemi, Perpelinkach, wysunięty jakoby szaniec Rzeczypospolitej, której majestatu i całości miał bronić.

Jakoż bronił jej do ostatka. Żył, póki młodego życia stało, na posterunku, ratując jako władza, a jako obywatel pod własny, dziurawy dach garncz polskie, zarówno jak ruskie gromady bezdomnych, chwili wygody ani spoczynku sobie nie dając.

Przy tej to pracy zaskoczyła go ruska nawała. Nie na życie obrócić się miał wszystkie zacy i rozumny wysiłek tej młodości, ale na jedyną, straszliwą, ostatnią godzinę bohaterkiej śmierci! A znaczoną mu ona była - rzecz można - już od kołyski. Ur. w r. 1895 w Schodnicy, otrzymał był, jako dar chrzestny od swej babki, Karolowej Młodnickiej, ongiś panny Wandy Monne - muzy grottgerowskiej „Wojny”, - dwa słynne oryginały mistrza, dziatwie polskiej poświęcone. Pierwszy rysunek przedstawia pacholę śpiewające na chórze, drugi innego znowuż chłopczykę, w chwili, gdy w podziemiach Wawelu całuje sarkofag Kościuski. Pod rysunkiem tym wysztychował Grottger okragłem, czytelnym pismem, wiersz swej narzeczonej, prostą, pełną wdzięku dziecinną modlitewkę, w której chłopię polskie mówi do Boga o Ojczyźnie:

„I zahartuj młde me ciało,
Wolą, siłą, męstwem szczerem,
Gdy dasz łaskę cierpieć dla Niej,
Żebym cierpieł bohaterem !”

Co do joty spełniło się na jej wnuku prorocstwo tragicznej, grottgerowskiej muzy! Jemu też przypisał poeta i wychowawca duchowy całego, pokolenia „z miłością i błogosławieństwem”, swój serdeczny „Katechizm”. Na nim dosłownie uczył się czytać Ludwik.

„- A w co wierzysz?
W Polskę wierzę!
- Coś ty dla niej?
Wierne dziecię!
- Coś jej winien?
Oddać życie!”

Uroczyście, jak rotę przysięgi, wymawiał ongiś głos dziecka te wiernie aż do śmierci dotrzymane słowa...

Od listopada 1918 r. więziony, myśl o złożeniu okupu zbirom odrzucił, z możności ucieczki, ze względu na współwięźniów nie skorzystał. 1 kwietnia 1919 r. postawiony przed sąd doraźny w Złoczowie, zarzutowi stawianemu nie tylko nie zaprzeczył, ale z naciskiem w obliczu śmierci okrutnej go podtrzymał. Całą jego „winą” bowiem była niezmienne pełniona, do ostatniego tchu hardo wyznawana - polskość.